

Wiersze Mickiewicza w dżungli wietnamskiej

Rozmawiamy z Moniką Warneńską

— Jest to już czwarta podróż Pani do Wietnamu, a trzecia w warunkach wojennych. Jakże są Pani sprężeni, jak ocenia Pani nową sytuację?

— Już chyba cały świat zdołał się przekonać, że takiej wojny Amerykanie nie wygrają. Każdy dzień przynosi im nowe rozczarowania, coraz bardziej pograża w oczach opinii świata, kompromituje wobec własnego narodu. Charakterystyczne, że całkowite dewaluacji uległy oświadczenia składane przez amerykańskich polityków utrzymujące, że koby w duchu dobrej woli. Pamiętam przecież, że w marcu 1968 r. Johnson ogłosił wstrzymanie bombardowania znacznej części DRW łącznie z jej stolicą Hanoi. Wierutne kłamstwo! Ogłosił, że bombardowania kontynuowane będą jedynie w rejonie obszarów strategicznych, ale nie zamieszkałych. Pomijam tu w ogóle kwestię bezprawnego mieszania się w wewnętrzne sprawy suwerennego narodu i charakterystycznej łaskawości gangsterów, którzy oczekują okłasków za obietnicę: nie będą strzelać w ręce, tylko w nogi! Jak można wierzyć w cokolwiek, co mówią agresorzy, kiedy fakty mówią, że obszary położone między 19 i 17 równoleżnikiem, a więc te, które miały być oszczędzone, były w rzeczywistości trzy razy silniej bombardowane po złożeniu owej kłamliwej deklaracji niż przedtem.

— Czy rzeczywiście tereny, o których była mowa w owej zapowiedzi nie są zamieszkałe przez ludność cywilną?

— Skąd, właśnie tzw. IV i V strefa jest obszarem bardzo licznie zaludnionym, mieszka tu ponad 5 milionów ludzi, jest to także obszar znany z rozległych pól ryżowych.

— Czy znalazła Pani nowe dowody na to, że Amerykanie stosują środki bojowe mające na celu wyniszczenie ludności cywilnej?

— Widziałam niewypały bomb, które — według zamysłu agresorów — mają przede wszystkim razić ludność cywilną. Na przykład bomby kulowe z opóźnionym zapłonem. Rozrzucone w ogromnych ilościach wybuchają dopiero wtedy gdy ludność w tym kobiety i dzieci opuszcza schrony i rowy. Amerykanie za cel tak używać nowego rodzaju bomb przypominających w kształcie rakiet. Po zetknięciu się z ziemią bomba eksploduje a z jej wnętrza wyrzucone zostają setki kółców i strzał naszczepionych substancją trującą. Powietrzni zabójcy wyobrażili sobie, że kolce te zasypia wnętrza grot skalnych, w których ukryci są ludzie.

— Jak ocenia Pani nastroje ludzi od tak dawna walczących, jak wygląda życie miast czy fragmentów, które po nich zostały?

— Dla Wietnamu wojna trwa, ludzie tu są jednak czujni, zarówno w czasie bombardowań jak i w okresie „pokojowych” manewrów amerykańskich. Jest stan oczekiwania. Ludzie pracujący w podziemiu w okresie silnych ataków z powietrza, nie opuścili swoich kryjówek na czas względnego spokoju. Wojna trwa nawet tam, gdzie nie słychać strzałów. Przywiozłam z sobą kilka bardzo dla mnie drogich pamiątek najlepiej mówiących o życiu ludzi w Wietnamie. Oto wybór utworów A. Mickiewicza przełożonych z francuskiego przez dwóch wietnamskich poetów: Nguyen Xuan i Hoang Trung Thong. Książka ta ukazała się w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy, drukowano ją w podziemnych drukarniach rozlokowanych w zamaskowanych grotach. Jeszcze jedna pamiątka — dzwonek sporządzony z łuski od pocisku. Dzwonek ten zdjąłem wprost z karku bawołu... Tak jak już powiedziałam — dla Wietnamu wojna trwa i nie zmienia tego stanu żadne taktyczne, mniej lub bardziej zamaskowane manewry Amerykanów. Mimo że jestem w Wietnamie po raz czwarty, ogromne wrażenie zrobił na mnie widok zniszczonych miast i wiosek, które widziałam pierwszy raz przy świetle dnia. Kiedyś podróżowałam tu ale jedynie pod osłoną nocy. Ludzie tej ziemi nazbyt dobrze jednak znają wartość imperialistycznych deklaracji i obietnic ażeby porzucić czujność. Rybacy wietnamscy widzą gołym okiem szare kadłuby jednostek VII Floty a ludność miast portowych wie, że nawet w tym czasie kiedy Johnson wygłasza pojednawcze oře

dzie, ich domy mogą być pokryte ogniem z dalekośnośnych dział.

— Jaki jest los Pani przyjaciół, których przecież wielu żyje i walczy w Wietnamie? Czy spotkała ich Pani, czy żyją?

— Zdumiewającą dla mnie sprawą jest ogromna stabilność kadr. Po dłuższej nieobecności spotykam ludzi pracujących na tych samych miejscach, niektórzy oczywiście awansowali, inni zdobyli wykształcenie ale nie zmienili miejsc pracy, trwają jak na posterunku. Jak zapewne Pan wie, podczas poprzednich pobytów w Wietnamie interesowałam się losem trefowatych. Po jednym z moich reportaży drukowanych w „Przekroju”, sprawą leprozium wietnamskiego zainteresowała się organizacja pomocy trefowatym w Bernie, która postanowiła rozłożyć opiekę nad trefowatymi Wietnamu. Podczas ostatniego pobytu u nich, chorzy przekazali mi prośbę — jedyną ich przyjemnością jest kontakt ze światem zewnętrznym za pośrednictwem radia. Proszą o aparaty tranzystorowe! Gdyby ktoś mógł, gdyby zechciał pomóc proszony jest o przekazanie darów dla chorych w Wietnamie na moje nazwisko do Agencji Robotniczej w Warszawie przy ul. Starynkiewicza 7 lub do Ambasady Demokratycznej Republiki Wietnamu w Warszawie przy ul. Chocimskiej. Jeśli już jestem przy sprawie aparatów tranzystorowych to chce także powiedzieć jaki los spotkał aparat, który ekipa Polskiej Kroniki Filmowej przekazała podczas swego pobytu w Wietnamie dla szkoły noszącej imię przyjaciół polsko-wietnamskiej. Aparat podzielił los szkoły. Zginął pod gruzami od amerykańskiej bomby.

— I ostatnie pytanie — odbywała Pani trudną podróż no Niemieckiej Republice Federalnej, wiemy że zagroziło pani niebezpieczeństwo ze strony starych i młodych faszystów, którzy zaatakowali samochód, którym Pani odjeżdżała po jednym z odczytów w Hannoverze; jak Pani ocenia stan wiedzy pani słuchaczy w NRF o rzeczywistej sytuacji w Wietnamie?

— Byłam w kilkunastu miastach, łącznie z Monachium, gdzie na sali dyskretnie pokazano mi przedstawiciela tzw. „Wolnej Eurody”, stawiałam wobec niego mniej lub bardziej zapewnionych sal, wobec publiczności prowokacyjnej i usiłującej zdo-

Dokończenie na str. 2



W ostatnim czasie egipskie władze bezpieczeństwa zlikwidowały kilku agentów działających na rzecz obcych wywiadów, przede wszystkim na rzecz wywiadu izraelskiego. Zlikwidowały w porę, nim raporty zawierające ważne dla obronności Egiptu informacje dotarły do miejsc przeznaczenia.

O niektórych aferach szpiegowskich wiadomo już w Polsce. Szczegółowo zostały podane do wiadomości, choć nie zawsze z ujawnieniem nazwisk. Nie podano więc nazwiska byłego ministra pełnomocnego z ministerstwa spraw zagranicznych ZRA, który przekazywał tajne dokumenty egipskie MSZ przedstawicielowi jednej z ambasad kraju, jak się tu pisze, zaprzyjaźnionego z Egiptem.

Prasa kairska podawała natomiast szczegółowe informacje o kapitanie hiszpańskiego statku Antonio Canallisie pracującym dla wywiadu izraelskiego. Kapitan, który dość często wprowadzał swój statek do portu w Aleksandrii, zgodził się, oczywiście za sowitym wynagrodzeniem, dostarczać wywiadowi izraelskiemu informacji o siłach morskich Egiptu oraz o dostawach broni przechodzących przez Aleksandrię. Canallisie usiłował zwerbować do pomocy egipskiego pilota Sayed el Shitaiwy, który natychmiast zameldował o uczynionych mu propozycjach władzom bezpieczeństwa. Polecono mu żeby pozornie zgodził się na współpracę.

Sayed el Shitaiwy skontaktował się więc z hiszpańskim kapitanem, obiecując, że za kilka dni dostarczy mu bardzo ważny materiał. Umówili się i w jednej z restauracji w Aleksandrii. Kiedy zadowolony Canallis odbił zaklejoną kopertę z rak pilota, do akcji wkroczyli agenci kontrwywiadu. Dowody były oczywiście. Antonio Canallis przez na-

stępne 10 lat zamiast pływać na swoim statku, będzie mógł w celi egipskiego więzienia dokładnie sobie przemyśleć nieopłacalność swojej decyzji współpracy z Izraelem.

Innego szpiega — również aresztowanego w ostatnim czasie — Izraelczycy zwerbowali w obozie jeńckim. Był nim porucznik Abdel Fattah Awad. Terenem jego działalności miała być też Aleksandria. Nim jednak zdołał wysłać swój pierwszy raport na adres podany mu przez wywiad izraelski — został zatrzymany.

Największe jednak wrażenie w Egipcie wywołała wiadomość o aresztowaniu na lotnisku w Kairze dwóch dziennikarzy: fotoreportera Munir Abdel Ghani Issa i kierownika biura prasowego Associated Press w Kairze — Ali Mahmuda Ali Mussa. Szczególnie ten, ostatni znany był dobrze w środowiskach dziennikarskich, już choćby z racji pełnionej przez siebie funkcji.

28 listopada ruch na kairskim lotnisku był jak zwykle ogromny, w tłumie przylatujących z całego świata

w rejonie Kanalu Sueskiego, nowego uzbrojenia, plany lotnisk, szczególnie dotyczące fabryk zbrojeniowych.

Akt oskarżenia ogłoszony będzie najprawdopodobniej na początku roku. Ale już dziś wiadomo, że prokuratura będzie żądać kary śmierci dla obu oskarżonych. I najlepszy nawet adwokat nie zdoła chyba uzyskać bardziej korzystnego wyroku.

Jak do tego doszło, że dwaj młodzi, dobrze zarabiający dziennikarze egipscy dali się zwerbować przez izraelski wywiad?

Historia jest dość banalna, można rzec klasyczna w swojej banalności.

Munir Abdel Ghani Issa, urodzony w 1938 r., po uzyskaniu matury został wysłany przez swojego ojca na studia medyczne do Niemiec Zachodnich. Nie skończył studiów. Wrócił do Egiptu w 1964 r. nie z dyplomem lekarza, a z zaświadczeniem ukończenia kursów dających kwalifikacje operatora telewizyjnego i z niemiecką żoną.

W Kairze dostał zupełnie dobrą pracę w United Press z wysoką jak na stosunki egipskie pensją 70 funtów miesięcznie. Nie wystarczały mu jednak te zarobki. Zajął się produkcją zdjęć pornograficznych, co w rezultacie pozbaawiło go pracy. Żona z dzieckiem wróciła do NRF-u.

Munir Abdel Ghani Issa chwytł się najrozmaitszych zajęć, stara się również o pracę poza granicami Egiptu. W 1968 r. wyjeżdża do Szwajcarii, skuszony niezbyt skonkretyzowanymi obietnicami otrzymania zajęcia w jego zawodzie. Zamiast jednak pracować, wesoło spędza czas, aż do chwili wydania ostatniego franka. Wtedy zjawia się na widowni agent izraelskiego wywiadu. Spotkanie odbywa się w najbardziej luksusowym hotelu. Znowu Munir Abdel Ghani Issa rozpoczyna okres „słodkiego życia”, już za izraelskie pieniądze. Potem wyjeżdża do Włoch, gdzie ostatecznie godzi się na współpracę z izraelskim wywiadem.

Po otrzymaniu odpowiedniej sumy pieniędzy wraca do Egiptu. Nie traci czasu. Natychmiast wyjeżdża do Suez. Przedtem jeszcze werbuje do współpracy swego przyjaciela Ali Mahmuda Ali Mussa, rozaczając przed nim miraż beztrudnego życia i zapewniając o całkowitym braku ryzyka, dzięki chytrej metodzie opracowanej przez izraelski wywiad, przekazywania szpiegowskich raportów na niewywołanym filmie.

Andrzej Żeromski

IZRAELSCY SZPIEDZY W POTRZASKU

ta pasażerów i odlatujących w najróżniejszych kierunkach, nikt nie zwracał uwagi na dwóch nieczym nie różniących się od innych, młodych ludzi. Nikt poza przedstawicielami władz bezpieczeństwa, które od pewnego już czasu obserwowały dobraną parę przyjaciół.

Munir Abdel Ghani Issa miał tego dnia odlecieć do Rzymu, by tam przekazać szpiegowskie materiały izraelskiemu agentowi. Jego przyjaciel odprowadzał go tylko na lotnisko, żeby mieć pewność, że wszystko udało się zgodnie z ich planem.

Nie udało się. Szybko, nie zwracając uwagi innych pasażerów, władze bezpieczeństwa zatrzymały obydwóch. Tak szybko, iż Munir Abdel Ghani Issa nie zdążył wyciągnąć z kieszeni filmu, na którym utrwalone były szpiegowskie raporty. Wystarczyłby jeden ruch ręki, żeby prześwietlić film i tym samym zniszczyć kompromitujące dowody.

Wywołaniem filmu zajęły się już egipskie władze bezpieczeństwa. Rezultaty były rewelacyjne. Utrwalone na taśmie filmowe dokumenty zawierały m. in. dane dotyczące rozlokowania jednostek wojskowych

— Przechowałem dokumenty z Powstania, zaświadczenia, zdjęcia grupowe, które mam ze sobą, odznaczenia powstańcze.

— W 1955 roku otrzymał Pan Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski — nie tylko za udział w Powstaniu, ale przede wszystkim za aktywną postawę społeczną. Oprócz licznych funkcji, pełni Pan z górą dwadzieścia lat obowiązki korespondenta terenowego naszego dziennika...

— Tak się zawsze składało, że działałem społecznie, mimo siedemdziesiątki na karku i słabego już serca. Nie mogłem jakoś wypaść z tego nurtu życia. W okresie międzywojennym działałem w radzie miejskiej w Skokach, gdzie osiadłem na stałe, w Sokole, prezesowałem w klubie sportowym, w Towarzystwie Przemysłowców (skupiającym rzemieślników polskie od 1865 r.). Niemcy zapłacili mi za to wyrzuceniem rodziny na bruk w listopadzie 1939 r. Moja rodzina z Wysokiej została uwieczniona w obozie w Potulicach. Rodziców podstępem udało mi się wydestakować. Brat Florian skatowany podczas przesłuchań, zmarł potem na zapalenie płuc; brat Marian przeżył gehenne obozu w Dachau. Jedyny mój syn, doznawszy szoku podczas bombardowań, zmarł po wojnie, nie przyszedłszy nigdy do zdrowia. To była cena naszej działalności. Inni zapłacili podobną.

— Nie lada hartu ducha trzeba było, żeby się nie załamać. Pan tego dokazał, działając nadal aktywnie w wielu organizacjach społecznych, przede wszystkim w ZBoWiD.

— Dziękuję za te wyrazy uznania. Pragnę tylko podkreślić, że takich działaczy, dawnych powstańców jest w naszym mieście więcej, jak na przykład Antoni Jarzembowski, Ludwik Promiński i inni.

Rozmawiała:
MARIA POLCYNOWA

Z bronią przeciw ciemieżcom



Antoni Stefaniak: ... „Przywiązanie do polskości zawdzięczamy naszym rodzicom...”
Fot. — K. Przychoździ

Wyrósł z tego pokolenia, które mu Prusacy batogami uśmiali wpoił miłość do nieo-czynny. Osiągnęli skutek odwrotny. Katowane w szkołach dzieci przywiązywały się jeszcze bardziej do polskości, do mowy ojczystą i dziadów, a w ich sercach pozostała na zawsze nienawiść do prześladowców.

— Całe trzy miesiące nas katowali — wspomina Antoni Stefaniak ze Skoków, który swe dzieciństwo spędził w Wysokiej pod Wyszkiem — ale mimo to dzieci polskie nie chcia-

ły się uczyć religii w zniechędzonej nym języku. Z tego pokolenia strajkujących wyrosli później powstańcy, którzy chwycili za broń w 1918 roku. Przywiązanie do polskości zawdzięczamy naszym rodzicom, którzy pielęgnowali stare tradycje, ucząc nas mowy ojczystej, historii. Podtrzymywali ducha polskości organizacje społeczne, jak np. Towarzystwo Śpiewu i Muzyki, którego mój ojciec był sekretarzem, a ja członkiem chóru. Należeli do tego Towarzystwa ludzie prości, jak mój ojciec rolnik i cieśla, jak Władysław Czarnecki, który kierował orkiestrą (w okresie międzywojennym zasłużony działacz społeczny).

— Droga, jaką przebył Pan i Pańscy koledzy, do Powstania Wielkopolskiego jest więc konsekwentną walką o zachowanie polskości podbitych ziem, walką o własną egzystencję i narodową niezależność. Udział w Powstaniu Wielkopolskim był aktem kulminacyjnym tej walki...

— Kulminacyjnym, ale nie ostatnim w moim życiu, mojej rodziny, przyjaciół i znajomych. Wcielony do armii pruskiej w 1917 roku, na wieść o rewolucji w Niemczech, wróciłem na „polski urlop” do rodzinnych stron tuż przed Gwiazdką 1918 roku, a już 2 stycznia 1919 roku brałem udział w walkach w Wysokiej. Razem ze mną byli też koledzy z ławy szkolnej — Paweł Rozenau, Marian Domek i Jan Lawicz (dwaj ostatni zginęli). Powstanie w Wysokiej przygotowywali Bogdan i Alojzy Bedersey, Franciszek Tadych (zameczony przez hitlerowców w Dachau), Jan Wyczyński i Kłysz — dowódcy miejscowego oddziału powstańczego. W akcjach na Wysoka dowódcą był porucznik rezerwy Teofil Spychała, W

Wysokiej padł na Rynku dowódca kompanii z Klecka, gdy brał udział w ataku na główny niemiecki punkt oporu — kościół. Nasza akcja miała by większe szanse powodzenia, gdyby nasi byli bardziej zdyscyplinowani. Po prostu nie wytrzymał napięcia nerwowego i zaatakowali Niemców wcześniej. Niestety, powstańcy musieli ustąpić przed oddziałami Grenschutzu z Piły i Wałcza, wyposażonymi w kulomioty i granaty ręczne. My mieliśmy flinty i to brało do nich naboje.

Nie daliśmy jednak za wygraną i przygotowaliśmy atak generalny w Wyszku na Wysoką. Był to bowiem jedyny punkt oporu wojsk pruskich w powiecie wyrzyskim. Niemcy bronili go tak uparcie, bo w pobliżu była głów na droga na Prusy Wschodnie, a w Białostawiu magistrata kolejowa. Niemcy za wszelką cenę chcieli utrzymać ten punkt, otwierający drogę do powiatu złotowskiego.

— Czy udało się wtedy wyzwolić Wysoką?

— Plany wyzwolenia Wysokiej pokrzyżował rozejm z Niemcami zawarty przez Naczelna Radę Ludową. Nasze oddziały musiały wycofać się poza linię demarkacyjną za Noteć, z Wyrzyska do Nakła, a potem aż do Paterka. Moje miasteczko rodzinne doczekało się wyzwolenia dopiero 20 stycznia 1920 roku w wyniku Traktatu Wersalskiego. Wysoka w czasie Powstania była wolna zaledwie trzy dni. Z tego okresu pozostał ręcznie wyszyty sztandar powstańczy, zrobiony przez moje siostry Leokadię Przybyłową (mieszkającą obecnie w Bydgoszczy) i Władysławę Kończakową — mieszkankę Wysokiej. Projekt piastowskiego orła rysował kolega ojca Ignacy Serejewski.

NASZE ROZMOWY

SPOTKANIA I KONFRONTACJE BRANIEWSKIE

W Braniewie odbyła się w dniach 13-14 grudnia 1968 r. sesja wyjazdowa olsztyńskiego Klubu Literatury Regionalnej, istniejącego już cztery lata i rozwijającego pożyteczną działalność popularyzatorsko-oświatową, inspirowaną przez znanego działacza warmińsko-mazurskiego, dra Władysława Gebika.

Imprezę potraktowali serio przedstawiciele zarówno partyjnego jak i państwowego kierownictwa powiatu, ludzie młodzi, wykształceni zdający sobie sprawę z roli literatury w integracyjnym działaniu społecznym; sformułowania tego użył zresztą zaraz na wstępie sesji przewodniczący Prezydium PRN, Jerzy Chojnowski (nota bene wychowanek poznańskiej Wyższej Szkoły Rolniczej), a nawiązał do jego sformułowania w swoim referacie o dwudziestu latach działalności bibliotek braniewskich kierownik Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Marian Filipkowski.

Powiat braniewski wchodzi w obręb Warmii, która obejmuje ponadto powiaty lidzbarski, olsztyński i biskupiński.

Walki o wyzwolenie tych ziem były wyjątkowo krwawe i dotkliwe. Odcięte w wyniku styczniowej ofensywy Armii Radzieckiej znaczne siły niemieckie stawiły przez dwa miesiące zaciety opór na linii starego systemu fortyfikacyjnego, opar tego o rzekę Pasiekę, Drwęce i Łynę oraz niedaleki Królówiec. W wyniku tego Braniewo zostało wyzwolone dopiero 20 marca 1945 roku. W walkach o te tereny poległo ponad 32 tysiące żołnierzy i oficerów radzieckich. Prawie całkowicie zniszczeniu uległy podczas tych walk miasta i osiedla: Braniewo zniszczono było w 80 proc., Pieniężno w 95 proc., Frombork w 70 proc., Orneta w 40 proc....

Wyjątkowo trudne warunki zastały przeto władze polskie w tym powiecie po przejściu frontu. Osiedla ludzkie, zakłady produkcyjne, urządzenia gospodarcze, system komunikacyjny stanowią ruiny.

W roku 1945 na terenie powiatu braniewskiego znajdowało się zaledwie 1900 osób ludności polskiej i 4100 ludności niemieckiej. Obecnie powiat ten ma 52 tysiące mieszkańców, co w przeliczeniu na 1 km kw. daje 42 (w województwie olsztyńskim 47); oznacza to, iż powiat ten jest nadal niedoludniony i odczuwa brak rąk do pracy, przede wszystkim w PGR-ach.

Ta niekorzystna sytuacja ludnościowa wymagała — i wymaga — od miejscowego kierownictwa partyjnego rad narodowych i organizacji polityczno-społecznych szczególnej dbałości i stosownego postępowania w zakresie wpływania na

prawidłowy przebieg procesu kształtowania stosunków socjalistycznych oraz ujednolicenia społeczeństwa. Odwołano się przeto do różnych czynników integracyjnych, w ich liczbie również do placówek oddziaływania kulturalno-oświatowego, do szkół, bibliotek, domów kultury i klubów wiejskich.

Działanie to okazało się celowe i skuteczne. Młoda społeczność powiatu (54 proc. mieszkańców urodziło się, a 25 proc. starszych mieszkańców przeżyło większość swych lat na ziemi braniewskiej) okazuje nowoczesny typ myślenia obywatelskiego i patriotycznego, co poświadczały wyniki pracy zarówno w działaniu gospodarczym jak i kulturalnym, które przewyższyły już efekty osiągnięte tam za czasów niemieckich.

Wraz z szybko postępującymi przemianami społeczno-ekonomicznymi (zaznaczyły się one zwłaszcza po IV Zjeździe PZPR), następują przemiany kulturalno-oświatowe, przemiany w psychice i poglądach mieszkańców, w sposobie i warunkach życia. Obserwuje się rozbudzone potrzeby w zakresie zdobywania wiedzy — i to nie tylko u młodzieży, lecz i u ludzi starszych. Wzrasta zainteresowanie różnego rodzaju formami dokształcania, książką fachową, imprezami artystycznymi, literatura piękna, spotkaniami z ciekawymi ludźmi.

Biblioteki np., podobnie jak inne dziedziny życia powiatu braniewskiego, musiały być organizowane po wojnie od nowa, także zresztą ze znacznym opóźnieniem wobec pozostałych regionów kraju. W 1947 roku biblioteki braniewskie dysponowały zaledwie 1670 książkami, w roku 1948—3377; gwałtowny rozwój zbiorów i sieci bibliotecznej zaczął się tam dopiero przed czterema laty. Zbiory bibliotek publicznych liczą obecnie 107 tysięcy tomów, z czego 47 tysięcy gromadzą biblioteki wiejskie. Na jednego mieszkańca powiatu przypada więc po 22 książki, a na jednego zarejestrowanego czytelnika 10,2 książki.

Wszystkie biblioteki w powiecie mają dobre wyposażenie oraz samodzielne jedno i dwuizbowe lokale.

Uważamy — informował podczas sesji literatury regionalnej kierownik PIMBP, Marian Filipkowski — iż ważnym zagadnieniem jest krzewienie czytelnictwa literatury dotyczącej własnego regionu. Za pośrednictwem tej właśnie twórczości zapoznaliśmy nasze społeczeństwo z przeszłością i teraźniejszością Warmii i Mazur. Nic więc dziwnego, że literaci olsztyńscy są bardzo częstymi gośćmi wśród naszych czytelników i społeczeństwa.

Zamierzenia te wcieliła się w życie poprzez spotkania autorskie, kon-

kursy czytelnicze, dyskusje nad książkami, wystawy, kolportaż książki itp.

Od stycznia 1964 do grudnia 1968 roku odbyło się na terenie powiatu braniewskiego ogółem 208 spotkań autorskich.

Biblioteki powiatu braniewskiego w krótkim czasie wysunęły się przede to na czołowe miejsce w województwie olsztyńskim, a w niejednej dziedzinie pracy popularyzatorskiej mogą być brane za wzór przez kierownictwa bibliotek w innych rejonach Polski.

Rozumieją korzystne skutki tych przedsięwzięć działacze, rozumieją mieszkańcy, toteż śmiało zaprzęgają wszystkie środki działania kulturalno-oświatowego do przekształcania i modernizowania życia społeczno-gospodarczego — i osiągają widome, pożyteczne rezultaty. Grudniowa sesja literatury regionalnej, nazwana — przez analogię do Rybnickich — Braniewskimi Dniami Literatury, przebiegała przeto w decydującej mierze pod znakiem bilansu powojennego dorobku Polski Ludowej na terenie Warmii oraz prowadzonych przygotowań do zbliżających się światowych obchodów 500-lecia urodzin wielkiego astronoma polskiego — Mikołaja Kopernika, obchodów, które obejmą także podbraniewski Frombork.

Przedmiotem obrad sesji literackiej były wychowawcze wartości literatury regionalnej oraz problemy jej upowszechniania. Trudno ten temat uznać za szczególnie frapujący i nowy: przynajmniej przy tym zakresie rozumienia literatury regionalnej, jakie mu nadali organizatorzy.

O wiele ciekawsze były bezpośrednie spotkania autorów w różnych środowiskach czytelniczych powiatu braniewskiego. Dodajmy od razu, iż spotkań tych odbyło się w ciągu ośmiu dni grudnia czterdzieści, przy ogromnym, spontanicznym zainteresowaniu społeczeństwa, można zatem rzec, iż stały się one rzeczywistymi Braniewskimi Dniami Literatury.

Uczestniczyłem w trzech spotkaniach: z młodzieżą licealną i członkami Koła Przyjaciół Bibliotek w Braniewie oraz z załogą nowej Przetwórnicy Mleka w Pieniężnie. Sale z trudem mieściły zainteresowanych, a tego rodzaju dyskusji, jaka miała miejsce na spotkaniu z członkami Koła Przyjaciół Bibliotek w czytelni Powiatowej i Miejskiej Biblioteki w Braniewie, można by życzyć na większym ośrodku miejskim w kraju.

Wskazywała bowiem ta dyskusja na rzeczowy i wymagający stosunek dyskutantów wobec całej współczesnej literatury polskiej; zastanawiano się nad zagadnieniem postawy osobistej pisarza i namietnie dyskutowano nad literaturą przeznaczoną dla dzieci i młodzieży. Wszyscy uczestnicy zdradzali wszechstronne odczytanie i orientację w zagadnieniach literatury oraz czasopiśmiennictwa.

Oprócz literatów z Opola, Zielonej Góry, Koszalina, Bydgoszczy, Poznania, no i oczywiście Olsztyna, zaproszono także górników z kopalni „Mor timer” w Zagórz. Przybyli do Braniewa, dwaj przedstawiciele kopalni, którzy nie tylko, brali udział w spotkaniach z ludnością (m. in. wspólnie ze znaną pisarką i rodowitą Warmianką Marią Zientarą-Malewską), ale i zabierali rzeczowo głos w dyskusji.

artykułu Antoniego Chojnickiego na łamach „Walki Młodych”.

„Dlaczego upominam się o robotnika w naszej prozie — zapytuje autor. — Po pierwsze — współczesna najambitniejsza powieść jest przede wszystkim poznaniem, jaką wartość ma poznanie, które nie bierze pod uwagę wszystkich elementów naszego życia społecznego (...) Co nam może dać za wiedzę o polskiej współczesności powieść, gdy wyłącza z pola widzenia robotnika? Po drugie — literatura jest dokumentem tendencji swojego czasu: proletariackie nastawienie wśrołeczności powieści polskiej mogą świadczyć o niej jak najgorzej, przyszłe pokolenia niewątpliwie zarzucą nam nadęty elitaryzm, wymigiwanie się od podstawowych obowiązków dokumentacyjnych i intelektualnych; po trzecie — robotnik jest niewątpliwym bohaterem naszych czasów, przez niego i w jego imię toczona jest walka o społeczne przekształcenie świata, w jego postaci skupiają się — jak w soczewce — główne cechy naszej epoki”.

Nie idzie przy tym o powrót do realizmu socjalistycznego, tak jak go rozumiano do 1956 roku. To jest niemożliwe. Chodzi o powieść, która ukazywałaby humanistyczne wartości pracy, życie codzienne robotnika bez tandeciarstwa i nikomu nie potrzebnego lakierownictwa.

POLONIA AMERYKAŃSKA

Próbie zbilansowania działalności Polonii amerykańskiej podejmuje w „Try-

Ravelowskie „Czary”

Nie bez słuszności określa się Ravela jako Mozarta nowej muzyki. Dostojność formalna wywołuje także porównanie z zegarmistrzem, który zabiera między sobą kółeczka mechanizmu z nieomylną dokładnością. Jakkolwiek autor „Bolero” żywo interesował się problemami harmonicznymi impresjonizmu, przecie punktem wyjścia były u niego zagadnienia formy. Ten kompozytor unikał zarówno egzaltowanej uczuciowości neoromantyków, jak i mgławicowej nastrojowości Debussy'ego. Był sobą jako indywidualność niepowtarzalna. Słynne stylizacje ravelowskie odznaczają się dowcipną lekkością, absolutnym brakiem patosu i wszystkiego co przytłacza. Z jaką subtelnością francuski autor wczuwa się w odrębny świat wyobrażeń dziecięcych, świadczy opera baśniowa „Dziecko i czary” (1925 r.), właśnie zrealizowana przez Państwową Operę w Poznaniu.

9-letni chłopiec nudzi się przy odrobieniu lekcji. Nie pomagają upomnienia matki. Rozszluszony małeć prze-wraca sprzęty, drze książki i zeszyty, tłucze filiżanki. Obrażone przedmioty budzą się do życia, przestrzegając niegrzeczne dziecko. Tańczy zegar, pasterka wychodzi z ram obrazu, straszy ogień, wreszcie i koty, ptaki, żaby, nietoperze — cała natura grozi zemstą. Trudno streszczać feerię opery Ravela. Libretto, pióra znanej powieściopisarki paryskiej Colette, ma swoje zalety, ale i wady. I akt rwie się dramatycznie, dopiero w samym zakończeniu brodaty Arytmetyk z „Chérem liczb” wprowadza konieczne ożywienie. Następnym akcie („Ogród”) wypada ciekawie.

Całość ratują fantastyczne „sny dziecka” czyli zupełnie nowe fragmenty choreograficzne. Za pomysły należą się duże brawa. Komu — program nie wspomina. Reżyserce W. Laskowskiej, czy C. Drzewieckiemu? Na tle cudownej muzyki — „Ma mere l'oye” i „Pavane” (wstawki) — popisuje się nasz zespół baletowy. Śpiewaczka E. Wójciak (rola tytułowa) zastępuje ludzko podobnie ubrany tancerz J. Solecki. Sugestywnie zrobione są mgliste widma, uprowadzające dziecko w krainę snu. Udana jest bajka o smoku i królownie. Banalnie wypada historia ptaka, który udra-

wia chińskiego cesarza. Punktem kulminacyjnym — imponująca wizja hiszpańskiego zamku, dostojne plasy dworu i nieszczęsna Infantka (A. Deręgowska). Szkoda, że anegdota z różą jest tak nieprzekonywająca. Bo w finale wręcz szokuje scena miłosna między księżniczką a ... dzieckiem.

Ravelowskie „Czary” stanowią polską premierę dzieła, które na świecie bywa niekiedy wzniwane, jednak zwykle bez trwałszego powodzenia. Niektórzy mówią okrutnie, że ta opera jest za smutna i za mądra dla dzieci, a zbyt naiwna dla dorosłych. Powiedziałbym inaczej: bardzo trudno idealnie rzecz wykonać.

Reżyserka nie zdobyła się na jakąś zdecydowaną koncepcję, aby posklejać oderwane numery I aktu. Aby zwiwnąć i rafinowaną muzykę Ravela urealnnić, nie pozbawiając jej poetyczności. Nadto drażniły niezgrabne filizanki, grube szary, koty wyglądające niby rozdeptane grzyby, zbyt uduchowione wałki z przyciężkami parawanami w rękach. Kostiumy Z. Wierchowicz znakomicie wyglądają w programie, na papierze. Na scenie raczej nie zdają egzaminu, zwłaszcza w I akcie, któremu także brak zmiennej gry światła, więc konieczne potrzebuje atmosfery tajemniczej baśni. Dopiero „Pawana” jako scenografia zasługuje na pochwały bez zastrzeżeń (choć muzycznie trochę się wlokła).

Nie sposób na tym miejscu szczegółowo omawiać kilku ról solowych, m. in. Myszowska jako Kanapa, Donat jako Ogień, Sowa była Benk, a Cwiczkowski Czajnikiem. Powiedźmy ogólnie: zebrano ansambl głosów, młodych i przeważnie dwięczonej, śpiewających precyzyjnie. Dalsze nazwiska mówią same za siebie — Winiarska, Pakulska, Jakubowska, Czekaj, Liszkowski i inni. „Chór liczb” poruszał się swobodnie i groteskowo, jak trzeba.

Jednak bohaterem spektaklu stała się orkiestra Państwowej Opery, grająca wypracowane pod wrażliwą muzykę batutą M. Donajewskiego. Nie powadźdnie finezje czarodziejskiej partytury Ravela „wysły” z całą wirtuozerią kolorystyczną. Były stonowane i pastelowe, celowo pozbawione większego ładunku emocji.

Wiersze Mickiewicza w dżunli wietnamskiej

Dokończenie ze str. I

być się na obiektywizm. Byłam dla nich pierwszym człowiekiem, który mówił prawdę o Wietnamie, oglądany własnymi oczami, o Wietnamie walczącym i pracującym w podziemiu, o Wietnamie ukrytym w dżungli, niedostępnym dla żadnego agresora, o Wietnamie silnym moralnie i pewnym słuszności swej walki. Przekonałam się w Heidelbergu, jak śmiało Amerykanie stają oko w oko z ludźmi znającymi

prawdę o wojnie w Wietnamie. Zapytano mnie, licząc zapewne na zaskoczenie, czy się zgodzę, aby na mój odczyt przyszedł pewien Amerykanin? „Oczywiście — powiedziałam — niech przyjdzie”. Znowu pytanie: „Czy może to być oficer amerykański?” Odpowiedziałam, że nie mam zastrzeżeń. Pytający mnie zwrócili się do amerykańskich władz wojskowych o przysłanie odpowiedniego człowieka. Ku zaskoczeniu organizatorów, Amerykanie stanowczo odmówili. Zwrócono się więc do władz konsularnych. Nikogo nie przysłali. Przy okazji się dowiedziałam, że władze amerykańskie w NRF zabroniły swoim wojskowym prowadzenia rozmów o wszystkim, co dotyczy Wietnamu.

Rozmawiał:

HENRYK JANTOS

Przeglądamy Prasę

CZEGO SIĘ SPODZIEWAĆ?

Czego się spodziewać w roku 1969 — zapytuje W. M. w stałym felietonie „Życia Literackiego”. Autorowi nie chodzi tym razem o to, czego byśmy sobie życzyli, lecz o to, co wynika z logiki rozwoju naszego kraju.

„Sejm uchwalił budżet i plan gospodarczy na rok 1969 — pisze W. M. Nic nowego w tym, że budżet zwiększył się o wiele miliardów zł w porównaniu z poprzednim (253 mld wobec 320). W tym że procentowo stopniowo wzrastają inwestycje. (Więcej niż połowa budżetu globalnego). To znaczy, że przyrasta nam w gospodarce narodowej, a więc nie przejadamy wszystkiego tego, co wypracowujemy. Myślimy o jutrze jako o spłataniu z zapasami, myślimy po ojcowsku i po gospodarsku o losie pokoleń wstępujących. Z nawiązką realizujemy dla każdego roku plan wyznaczony przez IV Zjazd partii przygotowania półtora miliona warsztatów pracy dla młodych rąk

w ciągu bieżącej a już kończącej się 5-latk. Mimo tych wysiłków, w dalszym ciągu będzie wzrastał fundusz płac (wzrost o ca 18 mld zł czyli o 5,4 proc. Na 1 mieszkańca wzrost funduszu społecznego o 4 proc.)

(...) Owocem dyskusji przedzjazdowej, swobodnego naporu i samego V Zjazdu są (...) propozycje zmian w usprawnieniach planowania gospodarczego. Ten pion administracji ma się poświęcić bardziej sprawom perspektywicznym, zostawiając operatywne działania ministerstwu. Zresztą dopływ świeżej krwi do władz zdopingowany przez V Zjazd razem z całą działalnością socjalistyczną i patriotyczną w naszej ideologii — to czynnik aktywizujący ekonomikę i moralność obywatelską. Nie chodzi jednak o niewolenie się starymi wzorami w związku z nieprzerwaną walką z rewizjonizmem. Władysław Gomułka na V Zjeździe wezwał do utrzymania atmosfery twórczej dyskusji i konfrontacji poglądów”.

I tego właśnie spodziewać się możemy po 1969 roku. Ale realizacja zależy już w znacznej mierze od nas samych.

OFICyna

ZAPOMNIANYCH BOHATERÓW

Czy to nie paradoks, że w państwie zdominowanym przez klasę robotniczą brak jej pełnego literackiego obrazu? To stwierdzenie jest punktem wyjścia

cive posunięcie Polonii amerykańskiej jest skwapliwie wykorzystywane przez Niemców w Waszyngtonie i wszędzie na niekorzyść Polski. W tej sytuacji Polonia musi wybrać taką drogę, która jak najmniej może Polsce zaszkodzić, a jak najwięcej jej pomóc”.

Głosy takie świadczą o realizmie politycznym — stwierdza w związku z tym Zygmunt Broniarek — o zrozumieniu — bez względu na własne przekonania światopoglądowe — gdzie Polski i jej narodu — wróg — a gdzie przyjaciel, co i kto Polsce szkodzi, a co i kto jej naprawdę pomaga.

☆

Ponadto w „Kulturze” znajdujemy rozmowę z Andrzejem Werblanem — przewodniczącym sejmowej Komisji Oświaty, kierownikiem Wydziału Nauki KC PZPR na temat perspektyw nauki polskiej; w tym samym tygodniku Krystyna Gołańska i Wiesław Iwanicki plecą o niedostatecznie zwalczanej a uciążliwej chorobie naszych czasów — o hałasie. „Współczesność” przynosi dyskusję na temat związków literatury i polityki. W „Życiu Gospodarczym” Jerzy Urban publikuje drugi z kolei artykuł na temat inicjatywy prywatnej („Wgląd w kieszeń”), „Argumenty” ukazały się w nowej szacie graficznej i zwiększonej do 16 stron objętości, przynosząc m. in. rozstrzygnięcie konkursu pod hasłem „Społeczność socjalistyczna a prywatność”.

LEKTOR